

FRONDA

GILBERT K.
CHESTERTON



Poeta
i wariaci

POWIEŚCI
Z KRZYŻYKIEM

Gilbert Keith Chesterton (1874-1936)

Angielski powieściopisarz, poeta, dramaturg i eseista.

Mistrz groteski, paradoksu i humoru absurdalnego.

Przeciwnik socjalizmu i agnostycyzmu.

Często polemizujący publicznie z G.B. Shawem czy H.G. Wellsem.

Zadebiutował w 1900 roku tomikiem *Błądny rycerz i inne wiersze*.

Ogółem jego twórczość obejmuje 80 książek.

Część z nich weszła na stałe do historii angielskiej i światowej literatury.

Największą sławę przyniosły mu powieści, takie jak m.in.

Napoleon z Notting Hill, *Człowiek, który był Czwartkiem czy Kula i krzyż*.

Jego wiersz *Lepanto* angielscy żołnierze powtarzali w okopach
podczas I wojny światowej.

W 1922 roku głośnym echem w Europie odbiła się jego konwersja
z anglikanizmu na katolicyzm.

Chesterton jako myśliciel religijny był także autorem książek
apologetycznych (np. *Ortodoksja*) jak i polemicznych (*Heretycy*).

Dał się poznać jako wielki przyjaciel naszego kraju,
wielokrotnie nazywając rozbiór Polski zbrodnią.



W serii
POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM
dotychczas ukazały się:

GILBERT KEITH CHESTERTON
KULA I KRZYŻ
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA
NAPOLEON Z NOTTING HILL
LATAJĄCA GOSPODA
KLUB NIEZWYKŁYCH ZAWODÓW
POETA I WARIACI

GERTRUD VON LE FORT
PAPIEŻ Z GETTA

WALTER M. MILLER JR
KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

BRIAN MOORE
KATOLICY

Gilbert Keith Chesterton

**Poeta
i wariaci**

FRONDA

Tytuł oryginału
THE POET AND THE LUNATICS

Copyright © 2009 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie

Zofia Sroczyńska

Redakcja i korekta
Robert Jankowski

Projekt graficzny serii
Halina i Bartłomiej Kuźniccy

Projekt okładki
Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-49-9

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
faks (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Menedżer projektu
Wojciech Salwa

Druk i oprawa
Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków

OSOBLIWI PRZYJACIELE

Oberża „Pod Wschodzącym Słońcem” swoim wyglądem zewnętrznym zasługiwała raczej na miano „Pod Zachodzącym Słońcem”. Przylegający do niej wąski, trójkątny skrawek ogrodu był raczej szary niż zielony, między rzadkie resztki żywopłotu wdzierała się smętna trzcina porastająca brzeg rzeki; dachy i ławeczki kilku ciemnych, zbutwiałych altanek zapadły się, a obdrapana statua nimfy wznosiła się pośrodku brudnego, wyschniętego basenu, w którym od dawna już zabrakło wody. Sam zaś budynek oberży był raczej pożerany aniżeli upiększany przez bluszcz, tak iż miało się wrażenie, że jego wiekowy szkielet z brązowej cegły powoli pęka w smoczych splotach tego gigantycznego pasożyta. Z tyłu oberża wychodziła na opuszczoną drogę, prowadzącą pomiędzy wzgórzami do brodu na rzece, prawie zupełnie nie używanego, odkąd trochę poniżej wzniesiono nowy most. Przed drzwiami oberży stał stół, a nad nim zwiślało drewniane, mocno poczerńiałe godło ze ściemniałą niemal na brąz słoneczną tarczą. Pod godłem stał oberzysta ponuro wpatrzony w drogę. Miał czarne, gładko przczesane włosy, a jego krwiste purpurowe oblicze wchłonęło jeśli nie całe piękno, to przynajmniej wszystkie cień słonecznego zachodu.

Jedyną osobą, która przejawiała tutaj ślad ożywienia, był człowiek opuszczający właśnie to miejsce, pierwszy, a zarazem ostatni gość od wielu miesięcy – samotna jaskółka, która najwyraźniej w świecie nie uczyniwszy wiosny, zbierała się do odlotu. Człowiek ów był młodym lekarzem odbywającym w czasie urlopu pieszą wycieczkę. Odznaczał

się sympatyczną brzydotą, miał wesołą twarz o ostrych rysach i rude włosy. Niemal kocia zwinność jego ruchów rażąco kontrastowała z ponurą martwością oberży nad brodem. Młody lekarz zapinał właśnie paski swej podróźnej torby, którą umieścił na drewnianym stole, pod godłem. Ani stojący o krok oberżysta, ani jedyny sługa, niechętnie i ociężałe krążący po oberży, nie pośpieszyli mu z pomocą. Może obezwładniała ich apatia, a może po prostu odzwyczaili się lub stali się zbyt opieszali.

Długie milczenie, beczynne i pracowite, zostało po raz pierwszy zakłócone dwoma krótkimi i gwałtownymi dźwiękami. Pierwszym był nagły trzask pękającego paska, zaciskanego przez doktora na umieszczonej na stole torbie. Drugim głośnie i wesołe: „Diabli nadali!” – będące jego komentarzem na powyższy temat.

– Ładna historia! – wykrzyknął lekarz, który nazywał się Garth. – Będę teraz musiał czymś to związać. Czy nie znajdzie pan u siebie kawałka liny, sznura czy czegoś w tym rodzaju?

Smętny oberżysta odwrócił się bardzo powoli i wszedł do domu, aby po chwili pojawić się z długim zakurzonym sznurem zwiniętym w pętlę podobną do stryczka i służącym zapewne do wiązania osła lub cielęcia u żłobu.

– To jest wszystko, co mam – powiedział. – Sam zresztą niedaleki jestem założenia sobie stryczka na szyję.

– Wygląda pan istotnie nieco przygnębiony – zauważył doktor Garth – i zapewne przydałby się panu jakiś środek uspokajający. A może moja apteczka otworzyła się właśnie w tym celu, aby czegoś panu użyczyć?

– Kwas pruski byłby najwłaściwszym środkiem uspokajającym i chętnie bym go zażył – odparł właściciel „Wschodzącego Słońca”.

— Tego nigdy nie zalecam – pogodnie uśmiechnął się doktor Garth. – Nie wątpię, że chwilowo może on przynieść wielką ulgę, nie mógłbym jednak w żadnym razie obiecać całkowitego wyleczenia po jego zaaplikowaniu... Ale musi pan chyba być naprawdę ogromnie przybity. Nie rozchmurzył się pan nawet wtedy, kiedy pozwoliłem sobie na coś tak niezwykłego, jak zapłatenie rachunku.

— Bardzo jestem panu wdzięczny, sir – cierpko odburknął oberżysta – ale trzeba by dużo więcej takich rachunków, żeby ta przeklęta stara rudera nie rozpadła się w drzazgi. Swego czasu był to nawet dobry interes... kiedy ta droga po drugiej stronie rzeki była jeszcze otwarta dla ruchu i wszyscy korzystali z brodu. Ale nowy pan zamknął ją, nie wiadomo czemu. I teraz wszyscy chodzą przez nowy most, o milę stąd. Nikt już tędy nie przechodzi. I nie chcę pana obrazić, sir, ale nie rozumiem, po co by mieli to robić.

— Słyszałem, że nowy właściciel jest sam bliski bankructwa – zauważył doktor Garth. – Taki to czasem bywa odwet losu. Nazywa się Westermaine, prawda? Słyszałem, że mieszka z siostrą w tym wielkim domu po drugiej stronie rzeki i że prawie nie mają z czego żyć. Sądzę, iż raczej cała okolica zaczyna podupadać. Ale mylił się pan mówiąc, że nikt tędy nie chadza – dodał nagle – bo właśnie widzę na zboczach wzgórz dwóch mężczyzn zdążających w tę stronę.

Droga przecinająca dolinę biegła prostopadle do rzeki. Nie używana jej część po drugiej stronie brodu nikła niemal na stoku. U szczytu jej widać było starą, na poły rozwaloną bramę majątku Westermaine, ciemniejącą na tle obłoków, których złowróżbna bladeść kryła w sobie zapowiedź burzy. Ale z przeciwnej strony doliny niebo było czyste i mimo wczesnego popołudnia świat wydawał się rzeźwy i jasny jak o poranku. W tej właśnie stronie, spoza zakrętu białej drogi na szczycie

wzgórza, ukazały się dwie postacie i chociaż z tak daleka nie wydawały się większe od punkcików, uderzająco różniły się swym wyglądem. Gdy nieznanymi podeszli bliżej, kontrast ów wystąpił jeszcze wyraźniej, a ich widoczna zażyłość tym silniej go podkreślała. Miało się niemal wrażenie, że idąc, trzymając się pod rękę. Jeden z nich był stosunkowo niski i krępy, drugi niezwykle wysoki i szczupły. Obaj byli blondynami. Ale jasne włosy niższego mężczyzny były starannie przedzielone i przylegały do czaszki, gęsta zaś czupryna jego towarzysza opadała w niesforne wijących się puklach. Niższy miał pełną, kwadratową twarz i żywe, ptasie oczki, które tym bardziej uwydatniały podobieństwo jego niezwykle ostrego, spiczastego nosa do ptasiego dzioba. Było w nim coś z samczyka-wróbla. I istotnie wyglądał bardziej na miejskiego niż wiejskiego ptaka. Porządne, choć pospolite ubranie, które miał na sobie, było typowym strojem urzędnika, a w ręku niósł niewielką teczkę, jak gdyby właśnie zmierzał do City. Za to jego wyższy towarzysz dźwigał na grzbiecie luźno zarzucony plecak oraz jakieś malarskie akcesoria. Miał pociągłą, nieco wymizerowaną twarz i nieprzytomne oczy. Ale jego broda śmiało wysuwała się naprzód, jak gdyby bezwiednie powzięła jakąś samodzielną decyzję, o której roztargnionym, niebieskim oczom nic jeszcze nie było wiadomo. Obaj podróżni byli młodzi i wędrowali z odkrytymi głowami, zapewne wskutek dręczącego ich podczas marszu upału. Pierwszy z nich trzymał bowiem w ręku twardy słomkowy kapelusz, drugiemu zaś wyglądał z plecaka niedbale tam wetknięty miękki kapelusz z szarego filcu.

Przystanęli przed oberżą, po czym niższy młodzieniec jowialnie zapewnił swojego towarzysza:

— No, tu przynajmniej będziesz miał odpowiednie pole do opisu!

Zaraz potem uprzejmie i wesoło powitał oberżystę, prosząc go, aby im wyniósł przed dom dwa kufle piwa. Ledwie zaś ów ponury osobnik zniknął w ponurym wnętrzu gospody, nowo przybyty zwrócił się z kolei do doktora, z równą jak przedtem pogodą i elokwencją:

— Mój przyjaciel jest malarzem – oświadczył. – Ale raczej specjalnego rodzaju. Można by powiedzieć, że jest malarzem ściennym. Nie należy jednak tego rozumieć w potocznie przyjętym znaczeniu. Zdziwi się pan zapewne, sir, ale mój przyjaciel jest członkiem Akademii Królewskiej, i to bynajmniej nie jakimś zaśnieżdżonym scholastą, co ów zaszczytny tytuł w praktyce dość często oznacza. O nie! Jest jednym z wybitniejszych młodych geniuszy i wystawia swoje obrazy w tych ich wszystkich zwariowanych galeriach. Ale jego jedynym celem, a zarazem najszczytniejszym postannictwem w życiu, jest wędrowka po Anglii i odnawianie godeł napotykanych po drodze oberż. Ot, i tyle! Sądzę, że nie co dzień można spotkać geniusza poświęcającego się takim błahostkom. Ale jakże się ta gospoda nazywa?

Wspiął się na palce i wyciągnąwszy szyję przyglądał się szerniałej tarczy godła z niezwykle żywym zainteresowaniem.

— Gospoda „Pod Wschodzącym Słońcem”! – wykrzyknął zwracając się gwałtownie do swego milczącego towarzysza. – Można by to uważać za prawdziwy omen po tym, co dziś rano mówiłeś o wskrzeszaniu starych angielskich oberży. Mój przyjaciel ma niezwykle poetyczną naturę. Powiedział, że w rezultacie mogłoby to spowodować wzejście słońca nad całą Anglią.

— No cóż, mówi się przecież, że nad Brytyjskim Imperium słońce nigdy nie zachodzi – zaśmiał się doktor.

— Nie odczuwam tego tak silnie w stosunku do całego Imperium – wyjaśnił malarz z prostotą, przerywając

dotychczasowe milczenie, jak ktoś odruchowo wypowiadający na głos swe myśli. – Mimo wszystko trudno jest przecież wyobrazić sobie angielską oberżę na szczycie Mount Everestu albo gdzieś nad Kanałem Sueskim. Ale można pożytecznie spędzić życie wędrując po Anglii i przywracając starym, zamartwym gospodom ich chrześcijańską oraz narodową tradycję. Gdybym tylko mógł tego dokonać, nie pragnąłbym robić nic innego do końca życia.

– I możesz się spokojnie poświęcić tej pracy – dorzucił jego towarzysz. – Dzieło takiego jak ty artysty zawieszone nad oberżą rozstawi ją na całą okolicę.

– Więc to rzeczywiście prawda – zapytał doktor Garth – że cały swój talent poświęca pan tego rodzaju zabytkom jak godła nad oberżami?

– A cóż może być piękniejszego, chociażby nawet jako samo zagadnienie? – odparł malarz. Był najwyraźniej porwany swoim ulubionym tematem, a należał do ludzi, którzy bądź toną w milczącej zadumie, bądź przeistaczają się nagle w płomiennych, przekonywujących mówców. – Co jest bardziej chwalebne? Czy malować akademickie portrety pyszałkowatych burmistrzów w złotych łańcuchach albo żony szwindlujących milionerów w brylantowych diademach, czy też uwiecznić oblicza wielkich angielskich admirałów, raczących się dobrym piwem? Czy lepiej jest namalować jakiegoś nepotycznego, starego durnia, chełpiącego się swoim świętym Jerzym i Podwiązką, czy samego świętego Jerzego, gdy zabija smoka? Odnowiłem już sześć starych tarcz ze świętym Jerzym i smokiem, a nawet z samym tylko smokiem, bez świętego Jerzego. Godło z zielonym smokiem działa zawsze niezmiernie sugestywnie na każdego obdarzonego choćby szczyptą wyobraźni. Można tego potwora przedstawić jako dziką bestię i postrach tropikalnych lasów. Już nawet błękitny odyniec

oddziałuje sugestywnie. Ma w sobie coś z nocy i gwiazd, jak Wielka Niedźwiedzica. Przypomina owego monstualnego, osnutego mrokiem dzika, który według celtyckiej mitologii miał uosabiać chaos i odwieczną noc.

Malarz sięgnął po swój kufel piwa i oddał się mu z całkowitym zapamiętaniem.

— Mój przyjaciel jest zarówno poetą, jak malarzem – wyjaśnił niższy przybysz, przypatrując się nadal swemu towarzyszowi ze zgoła absurdalnym wyrazem posiadacza, jak gdyby był właścicielem, a zarazem treserem jakiegoś rzadkiego okazu dzikiego zwierzęcia.

— Słyszał pan zapewne o poezjach Gabriela Gale, ilustrowanych przez samego autora? Mogę panu dostarczyć jeden tomik, jeżeli się pan takimi sprawami interesuje. Jestem agentem mego przyjaciela i prowadzę jego interesy. Nazywam się Hurrel... Jakub Hurrel. Ludzie śmieją się z nas i nazywają nas Braćmi Syjamskimi, gdyż jesteśmy nierozłączni... nigdy nie spuszczam go z oka. Muszę na niego uważać... ekscentryczność geniusza... sam pan rozumie...

Malarz uniósł znad kufła płonące protestem oblicze.

— Geniuszowi nie wolno być ekscentrycznym! – zawołał podniesionym głosem. – Geniusz powinien być skoncentrowany. Musi tkwić w samym sercu wszechświata, a nie krążyć po jego krańcach. Ludziom wydaje się, że to komplement, gdy komuś zarzucają, że stoi na zewnątrz, lub gdy mówią o ekscentryczności geniusza. Ciekaw jestem, co by sobie pomyśleli, gdybym się przyznał, że będę nieskończenie wdzięczny Bogu, jeśli mi pozwoli osiągnąć skoncentrowanie geniuszu?

— Obawiam się, iż sądziliby – odparł doktor Gale – że to piwo pomieszało panu trochę wielosylabowe wyrazy. Ale sądzę, że to bardzo romantyczny pomysł, przywracać do życia

stare godła, jak pan to określił. Romantyzm nie bardzo jednak leży w moim stylu.

W tym miejscu agent geniusza, pan Hurrel, szybko, a nawet dość gwałtownie wmieszał się do rozmowy.

— Ależ to bynajmniej nie jest tylko romantycznym pomysłem! – wykrzyknął. – To zarazem bardzo praktyczne i pożyteczne zajęcie! Jestem człowiekiem interesu, doktorze. I może mi pan wierzyć, że to naprawdę handlowe i korzystne przedsięwzięcie. A w dodatku nie tylko dla nas, ale i dla innych ludzi... dla oberżystów, wieśniaków, dziedziców i wszystkich innych. Proszę, niech pan spojrzy chociażby na tę walącą się ruderę, zwaną oberżą „Pod Wschodzącym Słońcem”. Gdyby tylko wszyscy zechcieli zgodnie się przyłożyć, ręczę panu, że po roku na miejscu tej dzwoniącej pustką dziury roitoby się jak w ulu. Gdyby właściciel zamku otworzył starą drogę i pozwolił ludziom zwiedzać ruiny, gdyby tu, na wprost oberży zbudował most i wywiesił godło namalowane przez Gabriela Gale, może pan być pewien, że wszyscy wytworni turyści z całej Europy zatrzymywaliby się „Pod Wschodzącym Słońcem” na obiad.

— Przepraszam! – zawołał doktor. – Ale coś mi się zdaje, że goście już tu ściągają na posiłek. Nasz przyjaciel oberżysta wyrażał się tak pesymistycznie, jak gdyby jego gospoda była jakąś ruiną na pustyni. Ale zaczynam podejrzewać, że robi nie gorsze obroty od „Savoyu”!

Stali wszyscy tyłem do drogi wpatrzeni w ciemne ściany oberży, o której mówili. Ale zanim jeszcze doktor się odezwał, Gabriel Gale, malarz i poeta, stał się w jakiś osobliwy sposób świadomy faktu, że towarzystwo ich się powiększyło. Kto wie, czy nie można by tego przypisać okoliczności, że wydłużone cienie konia i dwóch ludzkich postaci już od kilku chwil leżały tuż obok niego, na wyłoconej słońcem drodze. Obrócił głó-

wę, spojrzął przez ramię i oniemiał na widok, który mu się ukazał.

Po drugiej stronie drogi zatrzymała się lekka, wysoka dwukółka. Lejce spoczywały w osłoniętych rękawiczkami dłoniach smukłej młodej brunetki ubranej w wykwinntny, ale nie najnowszy już, granatowy, obcisły kostium. U jej boku siedział mężczyzna, o jakieś dziesięć lat od niej starszy. Sprawiał jednak wrażenie o wiele poważniejszego, gdyż jego twarz o ostrych, wyrazistych rysach, nosiła znamię wielkiego wyniszczenia, jak gdyby jakąś chorobą, a w dużych, szarych oczach czaił się dręczący niepokój.

W ciszy, która na chwilę zapadła, dźwięczny głos młodej panny zabrzmiał niby echo słów wypowiedzianych przez doktora:

— O, popatrz, na pewno będziemy mogli zjeść tu obiad. – Zsunęła się lekko na ziemię i stanęła przy łbie konia, a jej towarzysz, po chwili wahania, zdecydował się również wysiąść. Jasne sportowe ubranie, które miał na sobie, zdawało się raczej kłócić z jego chorobliwym wyglądem. Z nieco nerwowym uśmiechem zwrócił się do Hurrela:

— Mam nadzieję, że nie spotkam się z zarzutem, iż pana podstuchałem, sir. Sposób bowiem, w jaki pan mówił, nie zdradzał, aby panu zależało na zachowaniu tajemnicy.

Hurrel, który istotnie krzyczał jak jarmarczny przekupień, usiłujący zapanować nad zgiełkiem całego targowiska, uśmiechnął się w odpowiedzi zgoła uprzejmie:

— Mówiłem tylko to, co zapewne powiedziałyby każdy o możliwościach właściciela takiej, jak ta, posiadłości. I nie mam nic przeciwko temu, żeby usłyszał mnie każdy, kogo to może interesować.

— Dziwnym zbiegiem okoliczności interesuję się właśnie trochę tą sprawą – rzekł pan w sportowym ubraniu – tak się

bowiem składa, że jestem właścicielem tych włości, o ile w naszych czasach istnieją w ogóle jacyś właściciele.

– Proszę mi zatem wybaczyć – odparł agent, nadal się uśmiechając – ale jeśli zamierza pan grać rolę Harun Al-Raszyda...

– Ach, wcale nie czuję się urażony – odrzekł właściciel zamku. – Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nawet, czy przypadkiem nie ma pan zupełnej racji.

Gabriel Gale patrzył tymczasem na młodą pannę w granatowym kostiumie raczej dłużej, niż na to pozwalała grzeczność. Ale malarzy i ludzi roztargnionych trzeba czasem w takich wypadkach usprawiedliwić. Jego towarzysz doprowadziłby go z pewnością do szału, przypisując to roztargnienie ekscentryczności geniusza. Należałoby się jednak zastanowić, czy zachwyt malarza można by tak w danym wypadku określić. Podobizna lady Diany Westermaine byłaby z pewnością chlubnym godłem dla każdej gospody, jej portret zaś szeroko rozstawiłby każdą, nawet najskromniejszą galerię obrazów, pomimo że dawno już minęły czasy, gdy jej nieszczęsna rodzina mogła sobie na podobny zbytek pozwolić. Włosy lady Diany miały rzadko spotykaną ciemnobrunatną barwę. W normalnym oświetleniu wydawały się niemal czarne, ale w pełnym świetle nabierały ciekawych, niemal rudych błysków. Czarne łuki brwi zdradzały porywczosć, zarówno w dodatnim, jak ujemnym tego słowa znaczeniu. Oczy jej były większe i intensywniej szare od oczu brata, ale w ich wyrazie było mniej powszedniego niepokoju i troski, a więcej duchowego znużenia. Gale wyczytał z nich, że dusza jej jest bardziej zgłodniała niż ciało. Uświadomił sobie jednak równocześnie, że ludzie odczuwają głód tylko wówczas, kiedy są zdrowi. Wszystko to błyskawicznie przemknęło mu przez myśl, zanim, przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu, odwrócił się, by poświęcić uwagę reszcie towarzystwa.

Gdy tylko Gale oderwał od niej wzrok, lady Diana zaczęła mu się z kolei przyglądać, z o wiele jednak mniejszą dozą zainteresowania.

Tymczasem pan Jakub Hurrel zdołał dokazać rzeczy zgoła zdumiewających, jeśli nie wręcz cudów. Z uporem, przerastającym wytrwałość akwizytora oraz elokwencję urodzonego dyplomaty, potrafił w tym stosunkowo krótkim czasie skutecznie omotać właściciela zamku pajęczą siecią najrozmaitszych sugestii, propozycji i perspektyw. Należy przyznać, że naprawdę posiadał coś z legendarnego businessmana, o którym tak wiele słyszymy, a którego tak rzadko spotykamy w życiu. Interesy, których przeprowadzenia człowiek o umysłowości Westminsteraine'a nie potrafiłby załatwić inaczej, jak w drodze wielomiesięcznej, żmudnej korespondencji z prawnikami, w jego bujnej wyobraźni zdawały się układać błyskawicznie. Nowy most o artystycznej, drewnianej konstrukcji zdawał się już prowadzić przez rzekę do szerokiej, wygodnej drogi po przeciwnej stronie. Nowe, korzystniej ustalone czynsze niemal już usiały dolinę pięknymi, malowniczymi wioskami. A nowe, złociste godło z wschodzącym słońcem i podpisem Gabriela Gale lśniło nad ich głowami, jako dowód, że słońce naprawdę wzeszło nad tą krainą.

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, zostali wszyscy w miły i przyjacielski sposób przeprowadzeni przez oberżę i usadowieni do obiadu, który wkrótce zamienił się w prawdziwe posiedzenie komitetu przy okrągłym stole, ustawionym w smętnym ogródku nad brzegiem rzeki. Hurrel szkicował plany na drewnianym blacie, robił na strzępkach papieru obliczenia i jak z rękawa sypał cyframi. Z każdą chwilą stawał się przy tym bardziej ożywiony i promienny. Posiadał niewątpliwie pewną magiczną zdolność przekonywania innych, polegającą na tym, że najoczywiściej sam sobie święcie wierzył. Właściciel

zamku, który nigdy jeszcze nie spotkał się z kimś podobnym, nie umiałby znaleźć przeciwko niemu skutecznej broni, nawet gdyby to leżało w jego interesie. Wśród ogólnego zamętu lady Diana spojrzała na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Gabriela Gale, który zdawał się trochę senny i zupełnie nie zainteresowany tym, co się wokoło niego działo.

– A pan co o tym sądzi, panie Gale? – zapytała. Ale odpowiedział jej gorliwy doradca handlowy, który miał zwyczaj odpowiadać za wszystkich i na wszystko.

– Ach, nie ma celu pytać go o cokolwiek związanego z interesami! – zawołał głośno. – On jest tylko jednym z naszych walorów. Ściąga za sobą cały świat artystyczny. Jest wielkim malarzem. A od malarza żądamy tylko jego sztuki. O, proszę mi wierzyć, mój przyjaciel nie weźmie mi za złe tego, co powiedziałem. On nigdy nie zwraca uwagi na to, co mówię lub co ktokolwiek mówi, gdy chodzi o interesy. I z reguły nie odpowiada przed upływem pół godziny.

Malarz jednak odpowiedział na pytanie lady Diany przed oznaczonym terminem. Ale powiedział tylko:

– Myślę, że powinniśmy wpierw wysłuchać zdania oberżysty.

– Ach, doskonale! – wykrzyknął niestrudzony Hurrel i porwał się z miejsca. – Mogę to zaraz zrobić, jeśli państwo pozwolą. Wrócę za minutę! – I natychmiast znikł w ciemnym wnętrzu gospody.

– Nasz przyjaciel jest pełen zapału – uśmiechnął się właściciel zamku. – Trzeba jednak przyznać, że właśnie tacy ludzie zdolni są czegoś dokonać. Oczywiście w sensie praktycznym.

Lady Diana znów spojrzała na malarza, lekko ściągając brwi. Zdawała się mu niemal współczuć, iż został tak bezceremonialnie usunięty w cień. Ale on uśmiechnął się tylko i powiedział:

— Tak, jestem rzeczywiście do niczego, gdy chodzi o sprawy praktyczne.

Zaledwie skończył mówić, gdy poprzez oberżę dobiegł ich z drogi jakiś hałas, podobny do głośnego krzyku. Doktor Garth zerwał się na równe nogi i znieruchomiał wpatrzony w drzwi. W sekundę potem Gabriel Gale również porwał się z miejsca, jak gdyby coś go zaalarmowało. I zaraz potem wszyscy rzucili się w ślad za doktorem, który szybko wbiegł do gospody. Ale dopadłszy drzwi wychodzących na drogę Gabriel Gale odwrócił się na moment i zagrządzając przejście swą wysoką postacią, powiedział:

— Proszę nie puszczać tu pani.

Właściciel zamku zdążył jednak, ponad ramieniem malarza, w mgnieniu oka dostrzec straszliwą scenę. Z godła z wschodzącym słońcem zwisała czarna postać mężczyzny.

Trwało to tylko ułamek sekundy, gdyż w następnym momencie doktor Garth odciął wisielca z pomocą Hurrela, który zapewne wydał ów pierwszy alarmujący okrzyk grozy. Człowiekiem, nad którym schylił się doktor, okazał się nieszczęsny oberżysta. Widocznie zdecydował się zażyć kwas pruski w tej właśnie formie.

Po kilku minutach, spędzonych na wytężonej pracy w zupełnym milczeniu, doktor odchrząknął z ulgą i rzekł:

— Żyje... Za chwilę będzie już wszystko dobrze. – Po czym z pewnego rodzaju niesmakiem dodał: – Po cóż, u diabła, zostawiłem tu ten sznur, zamiast od razu związać nim torbę, jak porządnemu lekarzowi przystało. Wyszło mi to zupełnie z głowy w tym całym rozgardiaszu... Tak, tak, panie Hurrel... niewiele brakowało, by słońce weszło tu dla kogoś o minutę za późno...

Hurrel i doktor wnieśli nieszczęsnego oberżystę do domu, przy czym doktor oświadczył, że jeśli by to było potrzebne,

niedoszły samobójca wkrótce już będzie mógł odpowiadać na pytania. Tymczasem Gabriel Gale przechadzał się przed gospodą, tam i z powrotem, w swój zwykły bezcelowy sposób, obrzucając co chwila ponurym wzrokiem godło, które parę minut temu służyło za szubienicę, oraz stół, który zapewne spełnił rolę przysłowiowego katowskiego stołka, wytrącanego spod nóg ofiary. Marszczył przy tym czoło w sposób zdradzający nie tylko smutek, ale i zdziwienie.

— To naprawdę strasznie przynębiający wypadek – odezwał się właściciel zamku. — Oczywiście jestem w tej okolicy sędzią pokoju i tak dalej, ale doprawdy wzdrygam się na myśl, że miałbym niepokoić tego biedaka jakimiś policyjnymi dochodzeniami.

Na dźwięk tego słowa Gabriel Gale zawrócił w miejscu i wykrzyknął wzburzonym głosem:

— Ach, zapomniałem zupełnie o policji! Ach, naturalnie, powinien przecież zostać zamknięty w celi, żeby się przekonać, że pomimo wszystko warto żyć i że świat jest wesołym, uroczym globem, stworzonym wyłącznie w tym celu, by wieść na nim szczęśliwą egzystencję.

Zaśmiał się krótko, spochmurniał, coś przez chwilę rozważał i nagle wybuchnął:

— Niech pan posłucha, sir... Chciałbym pana poprosić o pewną uprzejmość, choć może wyda się to panu dziwne. Chcę, żeby mi pan pozwolił przesłuchać tego biedaka, gdy trochę przyjdzie do siebie. Zostawcie nas samych na dziesięć minut, a obiecuję wyleczyć go z manii samobójczej w sposób o wiele skuteczniejszy, niż zrobiłby to policjant.

— Ale dlaczego właśnie pan ma to sprawić? – z instynktowną niechęcią zapytał doktor.

— Dlatego, że jestem do niczego w rzeczach praktycznych – odparł Gabriel Gale – a tu ich granica została przekroczona.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem malarz znów przemówił z tą samą powagą i szczególnym autorytetem w głosie:

— W tym przypadku niezbędnym jest ktoś niepraktyczny. Właśnie tego potrzebują ludzie, gdy szukają ostatniej deski ratunku w najcięższej potrzebie. Cóż tu mogą poradzić ludzie praktyczni? Czy warto trwonić czas na bieganie za takim niešťczęśnikiem i odcinanie go od godła w coraz to innej oberży? Trwonić praktyczne życie na strzeżenie go nocą i dniem, aby nie wpadł mu w rękę kawałek sznura czy też brzytwa? Czy to pan nazywa praktycznym wyjściem z sytuacji? Możecie mu tylko przeszkodzić umrzeć. Ale czy potraficie go przekonać, że warto żyć? Proszę mi wierzyć... w takich chwilach wkraczamy właśnie my. Człowiek musi pochodzić z głową w obłokach i pobłądzić trochę w krainie cudów, zanim potrafi dokazać czegoś równie praktycznego, jak przyjście z pomocą bliźniemu.

Nagła zmiana w jego postępowaniu wprawiła wszystkich obecnych w zdumienie, które potęgowało się z każdą chwilą, ciężąc nad całą tą sceną i bynajmniej nie osłabło, gdy malarzowi istotnie, czy też pozornie, udało się dokonać swej misji. Po dwudziestominutowej nieobecności ukazał się bowiem w drzwiach, oznajmiając zebranym, że oberżysta nigdy więcej się nie powiesi. W sekundę potem, z dużym kawałkiem kredy w rękę, wskoczył na stojący pod godłem stół i długimi, śmiałymi pociągnięciami począł szkicować na brunatnym obliczu wschodzącego słońca jakiś rysunek.

Lady Diana przyglądała się tym poczynaniom z poważnym i zainteresowanym wyrazem twarzy. Była w tym gronie osobą najwrażliwszą intelektualnie i dostrzegła logiczny wątek myśli, przewijający się przez wszystko to, co innym zdawało się tylko czystym błżeństwem. Zrozumiała ironię zawartą w pierwszej wzmiance malarza o gospodarzu oberży. Morał ów był wstępem do straszliwej bajki. Trzeba przyznać, że omawiając

tak dokładnie sprawy oberży zapomnieli tylko i jedynie o jej właścicielu. Był to w jej pojęciu znamieny przypadek, a zarazem praktyczny dowód, że istnieją okoliczności, w których poeta może okazać się pożyteczniejszy od policjanta. Zarazem jednak wyczuła, że nieznanemu poetą ulega jakiejś konieczności, stojącej poza i ponad wszystkim. Jego niepokój musiał mieć jakieś głębsze przyczyny, a w oczach malarza dostrzegła coś, co przeczyło nagłej wesołości. Pomimo to kreślone przez niego z całym rozmachem arcydzieło w sposób wręcz zaskakujący posuwało się naprzód.

— Nie jestem w stanie zrozumieć – rzekła lady Diana – jak pan może malować w tym samym miejscu, gdzie ów człowiek powiesił się jak Judasz?

— To zdrada, a nie rozpacz, była występkiem Judasza – odparł. – Myślałem właśnie o czymś podobnym, jako o temacie do tego rysunku. Wolę to od Apollina i podobnych postaci, symbolizujących zwykle wschód słońca. O, widzi pani, tutaj pośrodku jest duża głowa, zaznaczona paru cieniami... – Zrobił kilka śmiałych pociągnięć na słonecznej tarczy. – Kryje ciemną twarz w dłoniach, ale spoza tej głowy wstaje złociста jutrzienka, jak aureola. Poziomy, purpurowy rąbek chmury i czerwony kogut... O, właśnie tutaj. Największy święty, a zarazem największy grzesznik. Czerwony kur to wyrzut sumienia, a aureola... to wschodzące słońce.

Nieokreślony cień, który zdawał się go przesłaniać, opadł z niego, gdy tak rozprawiał malując. I niemal symbolicznym zbiegiem okoliczności jasne popołudniowe słońce pełnym blaskiem objęło jego postać oraz dzieło, które zajaśniało wspaniale na ciemnym tle chmur, gromadzących się nieprzerwanie i coraz groźniej czerniejących po drugiej, burzliwej stronie doliny, za brodem. Od tych mas złowróznej purpury i fioleto jasno odcinała się sylwetka malarza przywodząc

na myśl jakiegoś legendarnego artystę odzianego w złocistą szatę i malującego freski w złocistej kaplicy. Wrażenie to potęgowało się coraz bardziej, w miarę jak spod pędzla artysty wyrastała głowa świętego Piotra i świetlistej aureoli. Młoda panna zaliczała się raczej do osób nie mających nic przeciwko temu, by czasem odbyć w marzeniach daleką podróż w przeszłość, o której zresztą nie wiedziała zbyt wiele. Wydało jej się więc nagle, że znalazła się w średniowieczu, uświęconym sztuką i jej arcydziełami. A było to wszystko, co o owej epoce wiedziała.

Niestety jednak cień, który właśnie w tej chwili wcisnął się między nią i słońce, w niczym nie przypominał średniowiecza. Przedsiębiorczy agent, pan Jakub Hurrel, w sztywnym kapeluszu włożonym trochę na bakier, wskoczył na ten sam stół, na którym stał artysta, i usadowił się blisko niego, machając nogami i paląc cygaro w sposób cokolwiek prowokujący.

— Muszę mieć go bez przerwy na oku, łaskawa pani, bo inaczej może Bóg wie co zrobić – oświadczył pan Hurrel, a brzmienie jego głosu i wyraz twarzy bynajmniej nie harmonizowały z wizją nabożnego, archaicznego rzemieślnika.

Diana Westermaine tłumaczyła sobie rozsądnie, że nie ma najmniejszego powodu do gniewu. Pomimo to czuła, że ogarnia ją pasja. Chociaż prowadzona przez nich dwoje rozmowa nie miała intymnego charakteru, włączenie się osoby trzeciej było w efekcie nazbyt realnym i przykrym natręctwem. Diana nie mogła zrozumieć, dlaczego artysta, który sam niewątpliwie był dżentelmenem, znosi towarzystwo takiego prostaka, jak jego handlowy doradca. Poza tym pragnęła usłyszeć coś więcej o wizerunku świętego Piotra lub coś równie interesującego na inny temat. Tymczasem zaś energiczny agent, sadowiąc się na stole, napomknął głośno o miejscu i dla maluczkich. I gdyby to on właśnie w danym momencie okazał się wisielcem,